

Ziggy Pielak

Ewa Hatała

I

– Mój syn, proszę pani, jeszcze przed przybyciem na ten padół łez został oddelegowany do robienia wielkich rzeczy – mówi przejęta pani Pielakowa. – Poród nie był łatwy. Poród był jak łamanie wszystkich kości naraz przy jednoczesnym okładaniu się pięścią. – Wyciąga z kieszeni chusteczkę i ostentacyjnie wyciera nią sobie zwilżone oko. – Rodziłam całą noc – głośno pociąga nosem. – Krzyczałam: „Boże, czemu mi to robisz?” tak głośno, że aż sam Stwórca poczuł się zobligowany do udzielenia odpowiedzi. Pot zalewał oczy, ból wykrzywił twarz, boskie wieści płynęły do mnie przez niebieską strużkę – wiedziałam już, że ktoś niesamowity wychodzi na świat bezpośrednio z mojego łona. Wtedy to pomyślałam: „A niech mi to łono przepołowi, ważne, aby się wydostał” – delikatny uśmiech rozjaśnia twarz pani Pielakowej, ale oczy wciąż pozostają wilgotne. – Mój syn jest dzisiaj wzorem dla milionów. Rozjaśnia pyski tych zakał i niegodziwców, którzy stąpają po naszej planecie, wlewa trochę szczęścia do ich zamkniętych serc, staje się drogowskazem na długiej i pełnej pułapek drodze życia...

Włosy pani Pielakowej, potraktowane, podejrzewam, parę dni wcześniej tanim utleniaczem, za nic w świecie nie chcą odbić światła. Są matowe i suche, przywodzą mi na myśl tylko pustynie i krajobraz po wybuchu. Napiłabym się wody. – I ja nie chcę nic mówić, ale to ja jestem matką tego człowieka. A czy pani urodziła jakiegoś bohatera? Co pani w życiu osiągnęła? – kończy przejęta.

II

Opuszczamy dom pani Pielakowej, w pośpiechu udajemy się do gabinetu pana Krzaczkę, znanego medioznawcy. Nasz cel znajduje się na drugim końcu miasta, jest nam nie po drodze, pan Krzaczek podkreśla, że może nas przyjąć tylko o dwunastej i tylko na dziesięć minut.

– To jest nowa jakość, totalnie – Krzaczek jest dużym mężczyzną koło pięćdziesiątki, brzuch kładzie mu się na biurku. – Sam miałem niezły ambaras, jak tego człowieka zamknąć w paru słowach, ale w końcu coś wymyśliłem i jestem kontent, bynajmniej, przynajmniej, de facto, stricte, vice versa. Wymyśliłem takie coś: „gwiazda na miarę naszych czasów”. Idealnie, idealnie. I myślę, że

pomysł należy niezwłocznie rozwinąć, bo przecież nie wypada zaczynać coś, a potem nie kończyć. Nie godzi się. W związku z powyższym już dzisiaj zabieram się za nową książkę pod tytułem: „Krzaczek odkrywa oblicze talentu na miarę naszych czasów, czyli od zera do bohatera, czyli od biedy do pieniędzy, czyli jak wygrać życie”. A co do Pielaka, proszę pani, on pokazał wszystkim niedowiarkom, że można, można coś, coś można, w rzeczy samej. A co można, to już pozostawiam do indywidualnej refleksji. Gdyby jednakowoż takowa refleksja nie przychodziła, gdyby nie udało się spłodzić rezultatów (bo przecież wiem doskonale, że nie każdy w obowiązkach ma myślenie), zapraszam do zakupu mojej książki, którą niebawem napiszę. Gwarantuję przewodnictwo duchowe na jakościowo dobrym papierze za jedyne trzydzieści złotych, a autograf też się przecież zawsze znajdzie – krótki śmiech kończy wypowiedź.

III

Przyjaciel Pielaka, Romuald Wieszak, przyjmuje nas w szlafroku i z cygarem w ustach. Cygaro jest zafoliowane, dziwi mnie ten widok.

– Proszę nam coś powiedzieć o waszych relacjach – zaczynam rozmowę z Romualdem, który bez wahania rozkłada się na sofie. Dość prowokacyjnie rozchyła szlafrok, odwracam wzrok, udaję, że interesuje mnie plakat z gołą panią na ścianie.

– No wiesz, moja droga, myśmy mieli „to coś”, odkąd pamiętam. Rozumiesz, to owiane tajemnicą „coś” pozwalające zdobywać świat zupełnie bez wysiłku, a mówiąc „świat” mam na myśli także każdą kobietę. – Wodzi wzrokiem po moim ciele, udaję, że nie zauważam. – Zysi, bo tak do niego wołaliśmy przed tym drobnym nowocześnieństwem pseudonimu, w młodości był niezłym zawiadką, powiem szczerze, że już wtedy wiedziałem, że coś się święci. Wyobraź sobie, wymaluj przed oczami taki obrazek: mamy po dwadzieścia lat i włóczymy się bez celu po osiedlu, we włosach trochę żelu kupionego za pierwszą zarobioną kasę (jeśli chcesz, pieniądze mogą być skradzione), szukamy szczęścia i sposobu, żeby opuścić tę dziurę bez perspektyw, tę, w której mieszkamy. Dziewczyny nas kochają, w żyłach płynie muzyka i tanie wino wypite za blokiem, krew bulgocze rozgrzana do stu stopni, testosteron, bójkę na gołe pięści, samotność, bunt i tragiczna bieda. Świat jest zły, my naiwni, ale powoli, bardzo powoli, dowiadujemy się, kto jeździ drogimi samochodami i stajemy się częścią systemu. To brzmi dobrze, nie? Całkiem zgrabna fabułka. – Romuald podnosi się z kanapy, siada. Szlafrok jest przez moment dramatycznie rozchyłony, czuję się molestowana. – Co myślisz? Da radę coś nakręcić? Możemy zrobić dwugodzinny metraż i poprowadzić historię aż do sceny nad przepaścią, no wiesz, skarbie – nad przepaścią w sensie metaforycznym, dosłownym i jakim tylko chcesz innym. Zbliżenie na twarz, emocje i pot, co się skrapla. W oczach już mu widać te wszystkie pogruchotane kości i mózg, co niby ma się rozbryzgać na płytkach chodnikowych.

+

IV

– Kości się nie pogruchoły, mózg zdaje się na swoim miejscu. Nie wiem, ciężko mi powiedzieć, bo wie pani, prawda jest taka, że ja tylko chciałem się rzucić z mostu. – Ziggy Pielak wydaje się zwykłym obywatelem ubranym w łaszki pozornego sukcesu. Siedzimy w restauracji, zamówił wodę, ani na moment nie zdejmuje z nosa czarnych okularów. – Każdy człowiek ma prawo się załamać, gdy jego twórczość napotyka mur głupoty, albo – co ciężko mi czasem przyznać – jest zwyczajnie słaba. Pani sobie wyobrazi, jak stoję na balkonie, fajczę szóstego papierosa z rzędu, czuję się jak rasowy artysta z filmu, a pomysł na zmianę ścieżki mojej twórczej kariery kibluje gdzieś razem z pomysłem na życie. – Ziggy przerywa na dziesięć sekund; kiedy mam już zadać pytanie, znów zaczyna mówić. – Pewnego dnia zakładam więc buty i wychodzę z domu. To jest słoneczne popołudnie, pies sąsiadki załatwia się na środku ulicy, dzieciaki rzucają mi wypalone szlugi pod nogi, jakaś blondynka ze skruchą spogląda na swój o wiele za głęboki dekolt, słowem: dzień w odsłonie casual. I tu zaczyna się coś, co najpierw brutalnie pogryzie, a potem skonsumuje i wywali rutynę tego nudnego dnia: idę na pobliski most i zmierzam do jego krawędzi, aby zakończyć swój żywot. „Chociaż śmierć będę mieć poetycką”, myślę sobie. Ziggy prosi nas o wyłączenie kamery, chyba że nie mamy ochoty wysłuchać dalszej części opowieści.

– I wie pani, wtedy zaczyna się ten cały szajs związany z instynktem przetrwania: mózg już wie, że za chwilę spotka się na zimnych chodnikowych płytkach z równie niezadowolonym żołądkiem i jelitami, więc w obawie o swoją obślizgłość i te wszystkie różowe zwoje i ruloniki zaczyna podsuwać mi piękne życiowe momenty. Widzę moją pierwszą dziewczynę, widzę, jak zdobywam dyplom za wiersz, widzę, jak dostaję zniżkę w spożywczym za to, że według kasjerki jestem przystojny, widzę siebie siedzącego w kawiarni w centrum, popijającego małą czarną, śmiejącego się ze wszystkich tych, co robią cztery tysiące na miesiąc, ale nie wiedzą, co to sztuka. I kiedy mam już zrezygnować z samobójstwa, kiedy zaczynam planować, co obejrzę w telewizji – tłumy, policja i telewizja. Myślę sobie: „Przyjechali, to nie będę od razu schodził z tego mostu. Jeszcze powiedzą, że zrobiłem niepotrzebny raban, wystawią rachunek i do twórczego kryzysu dojdzie jeszcze kredyt”. Nadal stoję za barierką i zaczyna mi się kręcić w głowie – Pielak przerywa, spogląda na nas podejrzliwie, zapewne się zastanawia, czy kamera na pewno jest wyłączona. – No i co dalej? Dalej to było tak, że przychodzi jakaś bruneteczka z kamerzystą, bardzo do was podobni. I ta bruneteczka do mnie: panie, ale co pan, a ja do niej: no jak co, skacze, jak widać, a ona na to, że czemu, a ja, że kryzys twórczy, a ona do mnie: panie, pan jest medialny, pan nie skacze, z pana się dużo wyciśnie. No, a dalej to wiadomo, jak poszło.

Włączamy kamerę.

– Jakie plany na przyszłość?

– Program. Będzie wesoły. Zaprosimy dziesięciu potencjalnych samobójców, zmienimy im garderobę, umówimy na randkę, totalny lifting życia.